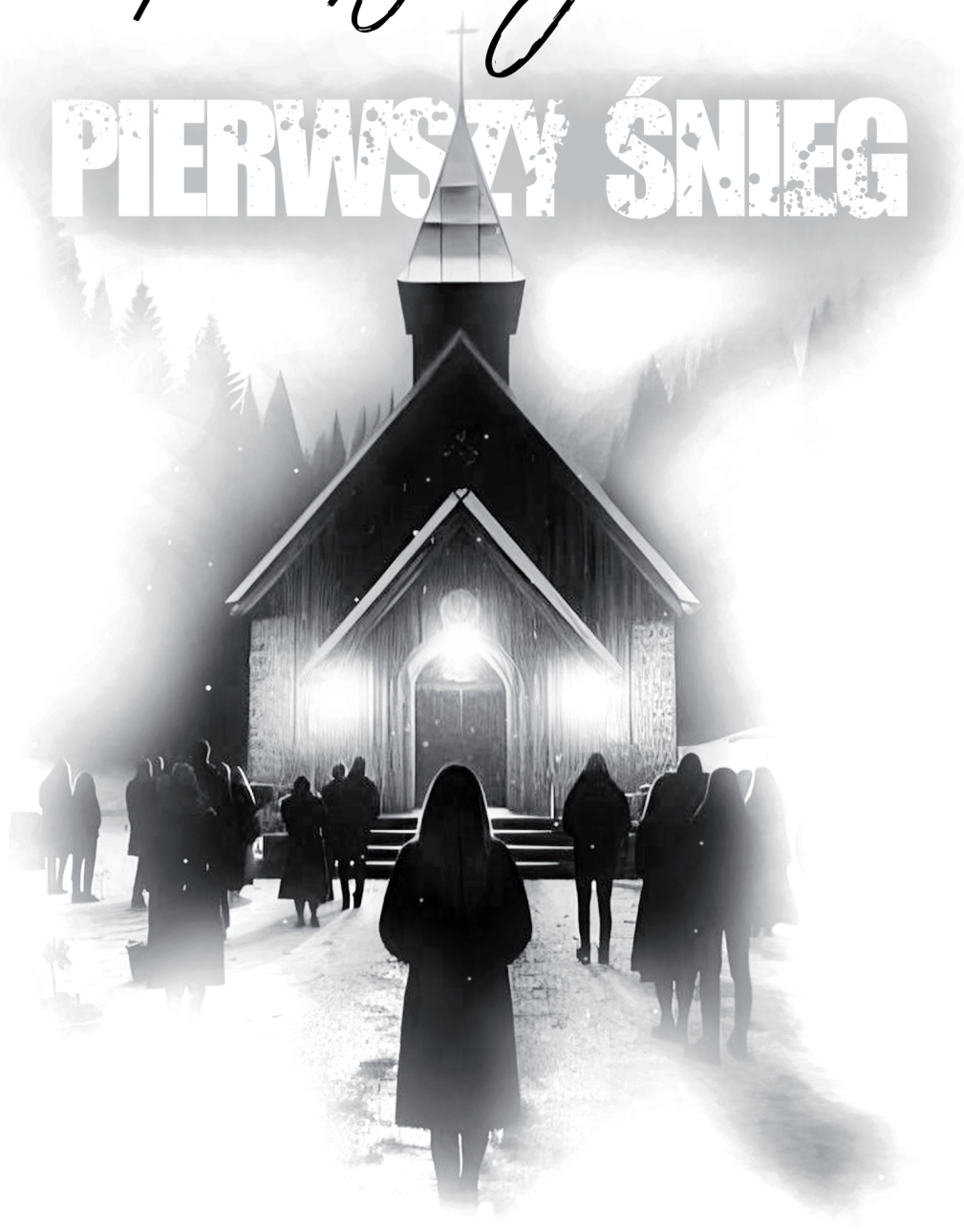


Patrycja Giesecke

PIERWSZY ŚNIEG



Tytuł:
Pierwszy śnieg

Copyright © by Patrycja Giesecke, 2025
Copyright © by Wydawnictwo Lingua Mortis, 2025
Copyright © for cover illustration by Patrycja Giesecke, 2025

Redakcja: Kalina Jankowska, Sławomir Jarzęb
Korekta: Magdalena Paluch
Projekt graficzny okładki: Sławomir Jarzęb
Grafika na okładce: Patrycja Giesecke
Ilustracje wewnątrz książki: Maciej Klimek
Skład i łamanie: Kalina Jankowska

ISBN 978-83-972548-1-7 (oprawa miękka)
ISBN 978-83-973270-8-5 (e-book)

Wszelkie prawa do polskiego wydania zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wszelkie podobieństwo osób, imion, nazwisk czy sytuacji w powieści jest przypadkowe.

2025, Wydanie I
Wydawnictwo Lingua Mortis

LinguaMortis.eu

facebook.com/wydawnictwolinguamortis
instagram.com/linguamortis_ph

NOĆ OPADÓW

rok 2013

ADAM

Pierwszy płatek śniegu unosił się subtelnie, bujany podmuchami wiatru niczym puszek kurzu lub jak kurze piórko, po czym po chwili opadł delikatnie na zimnej blasze parapetu. Był oznaką nadchodzącej zawieruchy, chaosu i niezliczonych ciężkich chwil, choć wielu mógł się zdawać delikatnym, nic nie znaczącym pyłkiem.

Nie zwiódł on jednak stojącego za oknem Adama. Mężczyzna podążał wzrokiem swoich jasnoniebieskich, starych oczu za opadającym płatkiem, póki ten nie wylądował na parapecie i nie roztopił się na nim, by zniknąć na zawsze. Nie. Ta biała kruszyna nie potrafiła go zwieść. Adam doskonale wiedział, czego zwiastunem był ten mały cholernik.

– Zaczyna padać – oznajmił, odwróciwszy się od okna.

Chata, w której mieszkał wraz z nadopiekuńczym synem, znajdowała się zaraz przy błotnistej drodze prowadzącej do centrum wsi, w niewielkiej odległości od ciemnej o tej porze dnia i pory roku puszczy. Na granatowym, rozświetlanym przez srebrne gwiazdy i ogromny księżyc w pełni niebie widać było zarysy wysokich, dostojnych sosen oraz pięknych i jakże niebezpiecznych gór.

Adam upił z kubka gorącej kawy i popatrzył po pomieszczeniu. Ani on, ani jego syn nie byli zamożni. Nie byli też biedni. Z ręcznie ciosanych figurek Chrystuska, Maryjki i wszystkich świętych, które Adam sprzedawał turystom w sezonie na targu w Karpaczu, starczało im, aby przeżyć całą jesień i zimę w godnych warunkach. A od kiedy Leszek, jego syn, zaczął prowadzić sklep internetowy z wyrobami ojca, powodziło się im bardzo dobrze. Mogli pozwolić sobie na większe lub mniejsze przyjemności. Ba! Mało tego, mogliby wyprowadzić się ze wsi i przenieść do miasta, gdyby tylko mogli.

Mogliby, jednak wiedzieli, że nigdy nie mogłoby do tego dojść.

Nie tutaj. Nie w tym życiu, a przede wszystkim nie stąd.

Należeli do Duchowic, tak jak ich rodzice i rodzice ich dziadów. Jak każde pokolenie ich rodu i każdego rodu zamieszkującego tę pozostawioną na pastwę losu, który nigdy nie był jej przychylny, zabiłą dechami wieś.

– Nie żebym się z tego cieszył – rzekł Leszek, który usiadł na starym krześle przy kominku i zaczął czyścić buty z zeschniętego błota – jednak wolę, kiedy to się dzieje jak najszybciej. Im szybciej się zaczyna, tym szybciej mamy to z głowy. Czekanie na pierwszy w roku śnieg pokrywający ziemię i odliczanie godzin do Nocy Zejścia jest dobijające.

Adam nie mógł się nie zgodzić z synem. On również nie potrafił usiedzieć w spokoju, kiedy miały pierwsze dni zimy, a śniegu jak nie było, tak nie ma. Wolał, jak i Leszek, aby zaczęło się to jak najszybciej i równie szybko skończyło. Czekanie... nigdy nie był w tym dobry.

– Czas zacząć przygotowania – powiedział niby do siebie, niby do Leszka. – Trza poinformować ojca Tadeusza. Niech szykuje kościół.

– Się robi.

Mężczyzna przebiegł wzrokiem za synem, który podniósł się ociężale z krzeselka i mocnym krokiem przeszedł do drugiej izby, aby zadzwonić ze stacjonarnego na plebanię. Leszek miał nadprogramowe kilka kilo i masywną, ciężką sylwetkę. Zupełnie nie był podobny do Adama. Zarówno posturę, jak i wygląd odziedziczył po matce, Kalinie.

– Panie świeć nad jej duszą – wyszeptał Adam z automatu, gdy tylko pomyślał o nieboszczce.

Mężczyzna kochał swoją żonę, Bóg mu świadkiem. I choć była grubaśna, gadatliwa i wtrącała swój orli nos w sprawy sąsiadów, Adam nie zamieniłby jej na żadną inną. Mimo swych wad kochała go nad życie. Opiekowała się nim, kiedy był chory,

gotowała tak, że brakowało mu czasem tchu, aby się zachwycić jej daniami, a w łóżku, za młodu, robiła takie rzeczy, że do tej pory czerwienił się jak prawiczek. Tak, Adam tęsknił za nią i oddałby wszystko, żeby Kalina wróciła do domu. Miała wrócić, jednak nie w taki sposób, w jaki Adam by chciał. I nie po tym, co zrobił.

LESZEK

– Widział ojciec? – zapytał do słuchawki.

– Tak, tak – pospiesznie przytaknął mu ojciec Tadeusz. – Właśnie wracałem od Wolińskich, kiedy poczułem skurwiela na nosie, nim zdążyłem założyć kapelusz.

Leszek uśmiechnął się pod nosem. Lubił ojca Tadeusza. Choć był księdzem z powołania, a nie z braku laku, to nie zaprzestał być człowiekiem. Dalej popijał wódeczki, dalej przeklinał i śmiał się z głupich kawałów, choć sam ich nie opowiadał, jakby był człowiekiem z ludu, a nie po święceniach. I za to Leszek uważał go za bliższego Bogu niż samego papieża.

– Tata prosił, abym ojca powiadomił – rzekł na swoje usprawiedliwienie.

Znane bowiem było, że ojciec Tadeusz miewa chwile, kiedy nic nie może go wykurzyć z plebani. Były to zazwyczaj momenty, kiedy męzczyzna zasiadł w fotelu i zaczytywał się w swoich ulubionych książkach: *Jaskini Platońskiej* Platona, *Efekcie Placebo* Dispenzy, *Krótkiej historii czasu* Hawkinga i innych podobnych. Tak, z ojca Tadeusza było niezłe ziółko. I pewnie odwołano by go z jego stanowiska, gdyby nie fakt, że ksiądz jak każde z nich, które tu się urodziło, tu wychowało i tu także miało dokończyć żywota, należał do Duchowic. Biskupi doskonale wiedzieli, jakie lichy czyha

w Duchowicach, i nie mieli najmniejszej ochoty wyciągać tego poza obręb wsi. Z tego powodu święcenia i nauki ksiądz przyjął właśnie tutaj, w tej wylęgarni szatana. Tak samo było z ich wiejskimi lekarzami od sanitariuszy przez dentystę i ginekologa. Było tak z każdym, kto wywodził się z ich wsi i musiał dokonać nauk wychodzących poza miejscową podstawówkę. Każdy nauczany był tutaj, w Duchowicach.

– Nie ma sprawy, synu. – Ksiądz sapnął ciężko do słuchawki. Najwyraźniej zmęczył się przechadzką, kiedy spieszył się na plebanie. – Zajadę do was jutro koło południa. Tymczasem trzymajcie rękę na pulsie. Jeżeli śnieg przykryje polanę w ciągu nocy, będziemy musieli zacząć odmierzać czas.

Leszek nie zdążył mu odpowiedzieć. Ojciec Tadeusz rozłączył się, a Leszka pożegnało głośnie pikanie oznaczające koniec rozmowy. Odłożył powoli słuchawkę na widełki i spojrzał niewidzącym wzrokiem w dal, za szybę, w kierunku puszczy. Miał nadzieję, że śnieg spadnie tej nocy i pokryje tereny wsi. Z drugiej zaś pragnął, aby śnieg nigdy więcej nie zawitał w tym rejonie. Nigdy, przenigdy.

W uszach zapiszczał mu kobiecy krzyk, przeplatany obrzydliwym bulgotem krwi. Słyszac go, Leszek zamknął mocno powieki, jakby to miało go odpędzić. Nie pomogło. Nigdy nie pomagało. Choć, co dziwne, w ciągu roku go nie atakował. Nawiedzał go tylko wtedy, gdy spadł pierwszy śnieg, a po

Nocy Zejścia zniknął niczym za pomocą magicznej różdżki. Było tak zawsze. Od tak wielu lat.

Westchnął ciężko i poszedł do kuchni. Była mała, staromodna, śmierdziała dymem z kafelkowego pieca ustawionego w głównej części pomieszczenia oraz smalcem, który ojciec przetapiał dziśszego ranka. Kiedyś Leszek marzył o wielkim świecie, o wyrwaniu się z tej dziury i dokonaniu wielkich, spektakularnych rzeczy. Miał smykałkę do biznesu, potrafił nawet wcisnąć kondomy zakonnicy. Marzył o tym, by wyjechać, zarobić sporą forszę i ściągnąć rodziców do wielkiego miasta. I w jakimś sensie mu się to udało. Wyjechał. Jednak wieś upomniwała się o niego w najgorszy z możliwych sposobów.

Kiedy był szczylem, nie chciał słuchać ani ojca, ani matki i ich bredni o tym, że nie wolno mieszkańcom opuszczać ich wsi na dłużej niż czas od wschodu do zachodu słońca. Myślał, że to bajeczki, że rodzice wierzą w zabobony, które opowiadano im za dzieciaka. Szydził wręcz z martwej już matki, która w dniu jego wyjazdu do Krakowa na kolanach błagała go, by został, mówiąc z przekonaniem o złu, jakie nadejdzie, jeśli ten odjedzie. Myślał, że wszystko to, co przeżywał od dnia pierwszej Nocy Zejścia, było ich winą, że boją się odejść, bo nie znają niczego innego jak przerażenie i strach.

Szydził z nich, a oni mieli rację.

Trzy dni. Tyle właśnie wystarczyło, aby Leszek przekonał się o tym, w jak wielkim błędzie był i jak wiele racji mieli jego rodzice. Trzy dni, dwa

zmarnowane życia. W tym jego własne, którym miał teraz płacić za szkody.

On i wielu innych ze wsi byli tymi, którzy mieli poprzez grzechy do odkupienia lub żale do pracowania karmić istniejące tu zło, aby nigdy nie wyszło ono poza obręby Duchowic.

WŁADEK

– Spadł śnieg.

Władek spojrział na Annę, która kompletnie naga weszła do sypialni. Jej smukłe, młode ciało pokryte było kropelkami wody, która skapywała ze świeżo umytych włosów. Ciemne pukle młodej Wolskiej pomimo ciężaru wody nadal układały się w gęste, skręcone loki.

Poklepał miejsce w łóżku obok siebie, a Anna ochoczo, choć bez cienia uśmiechu, podeszła do niego i położyła się na puchowej kołdrze.

– Pojutrze znowu będziemy siedzieć w kościele – powiedziała, a po jej ładnej twarzy przemknął cień bólu.

Władek nie wiedział, jakie demony skrywała dusza Anny. Nie mógł uwierzyć, że ta młoda i niezwykle urocza kobieta dokonała w swoim zaledwie dwudziestodwuletnim życiu czegoś tak okropnego, aby musiała przeżywać katusze w Noc Zejścia. Jego samego też pewnie nikt nie oskarżał o najgorsze, a mimo to... On skręcał się z bólu na samą myśl o tych kilku godzinach przerażenia, jakie będzie musiał znieść już niedługo.

– Chciałbym wiedzieć, co widzisz w Noc Zejścia – rzekł i zaczesał mokre pukle za jej ucho.

– Wierz mi, nie chcesz – odparła z siłą. – A nawet jeżeli to nie na tym polega nasz układ.

Przytaknął. Nie, nie na tym to polegało. Spotykali się na upojne noce, rozmawiali ze sobą jak przyjaciele, ale nigdy nie mieli ze sobą pomówić na temat ich demonów. Tak było łatwiej, choć Władka aż zżerało z ciekawości. Mimo to nie nalegał. On i Anna to był czysty układ. Żadnej miłości, żadnego romansu. Czasami tylko napomykali coś o małżeństwie, które miałyby być jedynie formalnością, aby spłodzić dziecko i żeby ludzie we wsi nie mieli tematu do plotek.

– Twoja matka coś podejrzewa?

– Nie. – Anna machnęła dłonią, jakby odpędzała tę myśl od siebie. – Jest zbyt zajęta pracą w hotelu, żeby zauważyć moje zniknięcia. Poza tym, od kiedy zarabiam na siebie, mama nie zadaje sobie aż tyle trudu, aby mnie kontrolować. Choć nie powiem, wciąż lubi wściubiać nos w nie swoje sprawy.

– Mogę kupić ci ten domek na wzgórzu – proponował Władek, chociaż znał już odpowiedź.

– Nie musiałybyś się wymykać po nocach. A i ja byłbym spokojniejszy.

Anna posłała mu to znajome spojrzenie. Nie musiała nic mówić. Władek wiedział, że mimo wszystko, mimo ich prostego układu, Anna nie zgodzi się na to, by być utrzymanką. Nawet jeżeli mieli zamiar się pobrać i spłodzić kolejną Bogu ducha winną duszyczkę, która miałaby zasilić poczet dusz do pożarcia przez Duchowice, ona nie zgodzi się na bezczynne siedzenie.

– Muszę się zbierać – powiedziała niespodziewanie. – Skoro spadł już pierwszy śnieg, to zapewne jutro zaczną się przygotowania do Nocy Zejścia.

Władek obserwował ją w ciszy, jak wstaje z łóżka, sięga po swoje ciuchy i pośpiesznie się ubiera. Martwił się o to, że Anna chciała wyjść z domu w taki ziąb z mokrą głową, ale postanowił zatrzymać to dla siebie.

Ubrana w długi płaszcz z weluru i w długich butach do kolan Anna podeszła do niego i mocno pocałowała.

– Na razie, przystojniaku.

I odwróciła się, aby odejść.

– Po Nocy Zejścia musimy pogadać o ślubie! – zawołał, kiedy była już w korytarzu.

– Jasne!

Po chwili usłyszał trzask frontowych drzwi, a cisza, jaka po tym nastąpiła, była niemal zabójczą.

Gdy tylko światła toyoty Anny mignęły w oknach, wstał i nagi ruszył do kuchni. Rozejrzał się po pomieszczeniu, po czym westchnął ciężko. Miał trzydzieści sześć lat, pieniędzy co niemiara, posiadał największy i najmodniejszy dom w okolicy, a jego kochanką była najładniejsza dziewczyna we wsi. A mimo to Władek czuł się nieszczęśliwy.

Miał wszystko, tylko nie to, czego pragnął.

Odkręcił kran z zimną wodą i nalał jej do szklanki, aby opłukać nagle zaschnięte gardło. Miał się ożenić i spłodzić dziecko, lub nawet kilkoro potomków, lecz na samą myśl o tym aż paliło go w trzewiach. I to nie dlatego, że kolejne pokolenia będą związane z tym miejscem na wieki. Nie, nie to było powodem. Tak samo jak Anna, on też doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że muszą się poświęcić.

W Duchowicach było coraz mniej rodzin, a to właśnie mieszkańcy wsi byli ostatnią barierą, aby utrzymać świat w jako takim porządku.

Czuł smutek i ból na myśl, że takiego potomka już by miał i to spłodzonego z miłości, choć jednostronnej, a i tak z tego zrezygnował. Ba! Sam doprowadził do tego, aby go stracić. Miał świadomość, że gdyby nie postanowił inaczej, rzeczy miałyby się w o wiele gorszym stanie, niż już były. Wiedział to, ale to nie umniejszało jego bólu. Wręcz przeciwnie, rozrywało to go na strzępy, a w Noc Zejścia działało się to dosłownie. W najbardziej dosadny sposób, jaki tylko sobie można było wyobrazić.

Patrycja Gzesecke

PIERWSZY ŚNIEG

W Duchowicach, wsi spowitej mgłą tajemnic i żalu,
każdy zna datę Nocy Zejścia.
Adam, Leszek, Natalia i inni mieszkańcy
mierzą się z przeszłością, której nie sposób pogrzebać.
Co roku, gdy spada pierwszy śnieg, cienie grzechów,
win i niespełnionych obietnic powracają z miazdzącą siłą.

Mroczna, gęsta, emocjonująca
i przerażająco prawdziwa opowieść o ludziach
zamkniętych w pułapce miejsca i własnych grzechów.

PATRONI



KATOWOLA
GROZOWNIA

Książka dostępna na:

darkbook.pl

